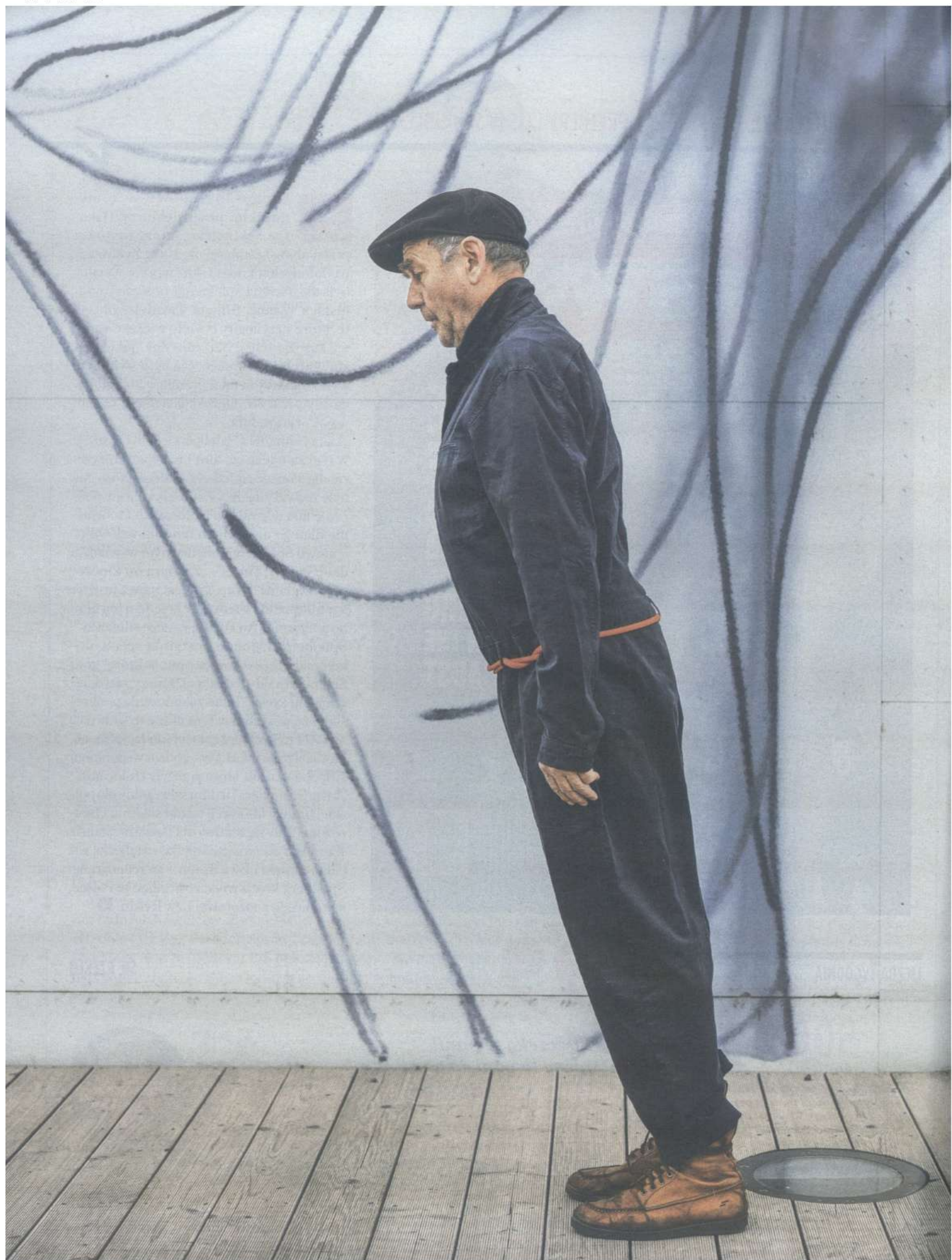




JAN PESZEK O POLSKICH KOSZMARACH

PRZEBUDZENIE

Myśmy naprawdę staczali się bezwolnie, coraz bardziej tracąc nadzieję, że nie wpadniemy w przepaść. I tylko społeczny instynkt samozachowawczy uchronił nas przed katastrofą – mówi aktor **JAN PESZEK**

ROZMAWIA ALEKSANDRA PAWLICKA ZDJĘCIA SZYMON SZCZEŚNIAK

NEWSWEEK: Zmieniła się Polska po wyborach?

JAN PESZEK: Odpowiem jako aktor od półtora roku objeżdżający Polskę w bardzo intensywnym tourze z „Kwartetem” Bogusława Schaeffera w reżyserii Mikołaja Grabowskiego. Jeździmy po różnych miejscowościach, od bardzo małych po wielkie miasta, i reakcja publiczności jest najlepszym testem nastrojów. W sekwencji improwizowanej spektaklu pojawiają się opowieści ze spacerów po Warszawie 1 października i 4 czerwca tego roku, na przykład „Kot może zostać” – napis niesiony przez wielbiciele zwierząt lub „Jesienią wykopać, wiosną posadzić” – najprawdopodobniej przez rolnika. Publiczność reaguje spontanicznym śmiechem, ale przed wyborami pojawiała się lekka synkopa – pauza, w której mieściła się niepewność widowni, jak zareagować. Po wyborach już tej synkopy nie ma.

Polacy odetchnęli?

– Reakcja przed wyborami dowodziła dużego stresu spowodowanego manipulacjami dotychczasowej władzy i traktowaniem społeczeństwa na tyle przedmiotowo, że poniżone wypełniało się lękiem. Przyhamowywał je stres. Teraz publiczność reaguje spontanicznie, burzą braw, okrzykami, śmiechem, więc z całą pewnością te wybory były katalizatorem uwolnienia pozytywnych reakcji u każdego Polaka, który nie był w stanie już dłużej zaakceptować staczania się naszego kraju w przepaść. Sam często powtarzałem publicznie, że śnimy straszny sen.

Mówił pan, że „Polsce przytrafił się koszmar”.

– Który, jak każdy koszmar senny, musi mieć swój koniec. Szczęśliwie jestem jego świadkiem, a nawet mam poczucie minimalnego udziału w tym przebudzeniu. W młodości miewałem sen, bardzo dręczący, w którym pędziłem, wiedząc, że zmierzam w przepaść. I jak to we śnie, nic nie mogło mnie powstrzymać. Dopiero w ostatniej chwili pojawiało się zwierzę, kładło się w poprzek albo stawało na mojej drodze i patrzyło wprost na mnie. Dzięki temu zatrzymywałem się i nie spadałem w przepaść. Może to nieudolna metafora obecnej sytuacji, ale myśmy naprawdę staczali się bezwolnie, coraz bardziej tracąc nadzieję, że nie wpadniemy w przepaść. I tylko społeczny instynkt samozachowawczy uchronił nas przed katastrofą.

Najczęściej werbalizowanym odczuciem wyborców opozycji była za rządów PiS bezsilność.

– Mieliśmy świadomość, że przepaść jest całkiem realna – groźba wyprowadzenia z Unii czy niszczenie praworządności, a na dodatek ta przepaść jest wypełniona strasznymi postaciami rządzącymi, z prezydentem na czele. Bo jeśli prezydent odbiera ludziom LGBT człowieczeństwo, a o widzach „Zielonej granicy” Agnieszki Holland mówi, używając sloganu z czasów okupacji „tylko świnie siedzą w kinie”, to jest to dno, w które już nic nie puka. Dalej nie można się już stoczyć. I świadomość, że tak zachowuje się ktoś, kto jest głową mojego państwa, odbierała mi codziennie motywację do posiadania nadziei, że to się kiedyś zmieni. Dlatego gdy człowiek budzi się z takiego kosmaru, to czuje wielką ulgę. Choć cień pozostaje w tyle głowy.

Boi się pan powrotu PiS?

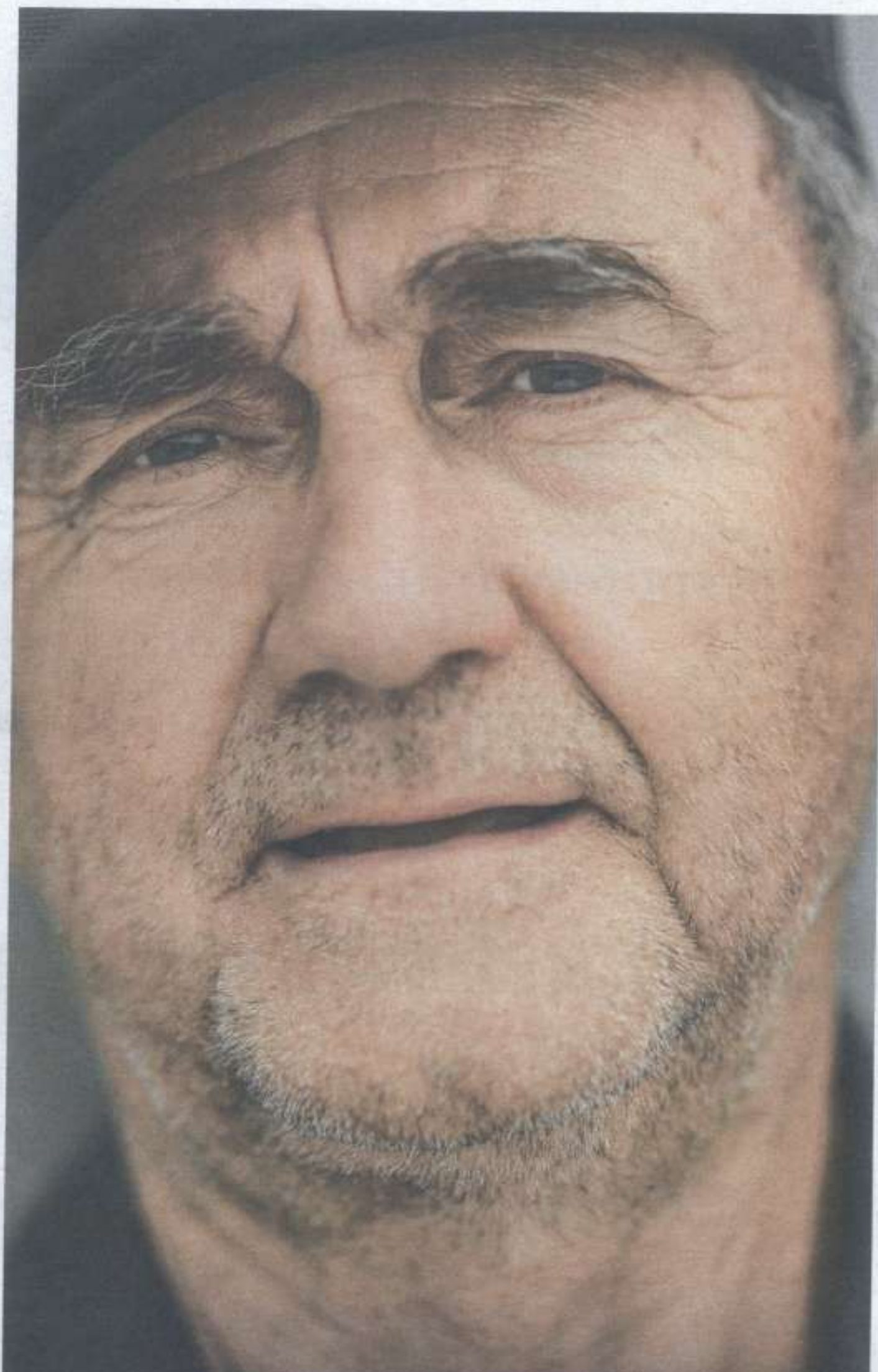
– Tkwimy w stanie niepewności, sytuacja jest skomplikowana i nie znamy wyrazistego kierunku, w którym zmierza nasz kraj. Dzięki temu, że Polacy stanęli na wysokości zadania i w rekordowej liczbie postanowili zadecydować o swoim losie, w polityce pojawiły się twarze, na które można znowu patrzeć. Ludzie, których można słuchać, mówiący językiem polskim, który przestał istnieć w rzeczywistości fundowanej przez PiS. Przez osiem lat język polityki był językiem nienawiści frustratów, ludzi, którzy wszystko, co mówią, mają zakorzenione w kompleksach. Ich furiozalny atak przypuszczony na prawe zachowania był dla mnie czymś trudnym do zniesienia. Na szczęście mamy w polskich genach cechę polegającą na tym, że gdy miarka się przebiega, spuszcza szlaban.

Język PiS to nie tylko nienawiść i kompleksy, ale także fałsz.

– Gdy pani o tym mówi, przypominają mi się apele i wyjące syreny po śmierci Stalina. W szkole kazano nam płakać i ja, dziewięcioletni wówczas chłopiec, wraz z kolegą Ryśkiem staliśmy przed domem i płakaliśmy, a mój ojciec tego dnia odwołał pacjentów i razem z sąsiadką nauczycielką pił szampana. Gdy zobaczył nas zapłakanych, zapytał o przyczynę łez i słysząc, że to z powodu śmierci Soso, dał nam w tyłek. Zniewolenie i fałsz były wówczas powszechne, a niezgodna na to zniewolenie wymagała odwagi. Był to czas, gdy za posiadanie „Bitwy o Monte Cassino” Melchiora Wańkowicza szło się do więzienia.

Widzi pan analogię z okresem rządów PiS?

– Nie chcę czynić łatwych porównań, ale nieskończenie cyniczna nazwa partii Prawo i Sprawiedliwość jest totalną odwrotnością



**JEŚLI PREZYDENT ODBIERA
LUDZIOM LGBT CZŁOWIECZEŃSTWO,
A O WIDZACH „ZIELONEJ GRANICY”
MÓWI „TYLKO ŚWINIE SIEDZĄ
W KINIE”, TO JEST TO DNO,
W KTÓRE JUŻ NIC NIE PUKA.
DALEJ NIE MOŻNA SIĘ STOCZYĆ**

”

znaczenia tych słów. Za czasów PiS zniewoleniu uległ patriotyzm, nastąpiło przeakcentowanie narodowościowych aspiracji w kierunku ich ciemnej strony. I nagle wybory z tymi niekończącymi się, nocnymi kolejkami do urn stały się symbolem nieakceptowania przez Polaków tego, co robi władza. Te wybory były niczym szeroko otwarte okno, aby zrobić przeciąg.

Wcześniej przez dwie kadencje dopuściliśmy PiS

i Andrzeja Dudę do władzy.

– Zgłaszam sprzeciw. Nie wpisywałbym się w to towarzystwo i nie mówił „myśmy”, bo nie jestem „myśmy”. Często powtarzałem niepopularną opinię, że Andrzej Duda nie jest moim prezydentem, bo go nie wybierałem, tak jak i nie podzielałem poglądów jego elektoratu. W związku z czym nie mam nic wspólnego z niektórymi Polakami, tak jak oni nie mają nic wspólnego ze mną. Tego rodzaju podziały są dość oczywiste, istnieją zawsze, ale rzecz w proporcjach – ilu Polaków dało się zmanipulować, sprzedać, ilu okazało się pozbawionych skrupułów, ilu dało się przywiązać PiS za cenę stanowisk i publicznej kasy szastanej na prawo i lewo.

Co trzeba naprawić w Polsce jako pierwsze?

– Relacje państwo-Kościół. Całe to polskie zło ma swój początek w instytucji Kościoła, a niezwykle związanie się z nim partii tracącej właśnie władzę skutkowało umocnieniem jej elektoratu, bo ma on korzenie religijne. Mówię o pokoleniach, dla których to, co powie pleban, jest święte.

Kościół legitymizował działania PiS?

– To są obrzydliwe interesy polityczne, nikt nie powie mi, że jest inaczej. Ta relacja wciąż trwa. Kościół nie płaci podatków, nie jest rozliczany choćby za pedofilię i buduje swoją pozycję na szantażu religijnym. Biskupi to oświecona kasta, która wie, jak manipulować. Nie boję się tego powiedzieć. Jestem człowiekiem niewierzącym i z całą wyrazistością obserwuję to, jak po czasie komunizmu, który odbierał Kościołowi latyfundia, demokracja pozwoliła hierarchom kościelnym z niezwykłą żarłocznością i bezwzględnością domagać się ich zwrotu. Wiem, bo jako wykładowca padłem tego ofiarą. PWST w Krakowie trzeba było oddać urszulankom. Kościół bez skrupułów wyrzucał instytucje z odzyskiwanych budynków.

Religia powinna być wyprowadzona ze szkół?

– Przecież to jest nienormalna sytuacja! Moja wnuczka chodziła do gimnazjum krakowskiego, które miało obowiązkowe wizyty przy krzyżu w miesięcznice smoleńskie. Chodziła do tej szkoły, bo ma wysoki poziom nauczania. Nie uczestniczyła w lekcjach religii, więc to na nią i na rodziców wywierano nieznośną presję. To są szyskany na tle wyznaniowym. Kościół w ostatnich latach w Polsce odgrywa obrzydliwą rolę. Jest zapewne cała masa poważnych spraw do naprawy w naszym kraju, ale bez naprawy relacji państwo-Kościół nie jest możliwa naprawa innych dziedzin życia społecznego, z edukacją na czele. Kościół to wierzchołek góry lodowej.

Bez wyrwania władzy świeckiej spod wpływu Kościoła będziemy raz za razem śnić narodowy koszmar?

– W książce córki Marii „Naku*wiam zen” mówiłem, że podobnie jak mój ojciec marzył, aby dożyć końca komunizmu – co mu się niestety nie udało – tak ja marzę o pustych kościołach. Bóg dawno wyprowadził się z kościołów i nie ja jeden to dostrzegam. Wśród duchownych jest wielu światłych ludzi, którzy mają tego świadomość.

Czy to jednak wystarczy, aby wyrwać się z kołowrotu dziejów, czy jesteśmy skazani, aby w nim tkwić, tego nie wiem.

Na czym ten kołowrót polega?

– To pełen paradoksów, mitomanii i niezaleczonych ran nieustanny rozkrok między Wschodem a Zachodem. Tkwimy w nim, sięgając aspiracjami Zachodu, żeby wyciągnąć but ze Wschodu. Powoduje to niezwykłą powtarzalność cykli zachowań społecznych. Jestem pokoleniem urodzonym w czasie wojny. Przez moje życie przetoczyło się strasznie dużo odwilży, tych z czasów komuny i po niej. Pamiętam nadzieję w domu za każdym razem, gdy się udawało. Że wreszcie będzie nowe, lepsze, trwałe, po czym okazywało się to cyniczną grą i ci, którzy coś obiecywali, byli na pasku Moskwy. Gomułka, Gierek...

... Kaczyński?

– W ostatnich latach dziwiliśmy się w gronie znajomych, że wszyscy inaczej myślimy, mamy inne poglądy niż te, które nakazuje nam wyznawać władza, a jednak wybór ostateczny Polaków okazuje się przeciwny niż nasz. Gdyby wynik ostatnich wyborów okazał się inny, nie wiem, czy miałbym się po raz kolejny opierać się i nie pozwolić infekować złu. Ile razy można wstawać i mieć nadzieję, że nikt nie rzuci cię już na klęczki? Pamiętam 1968 r., gdy żegnaliśmy naszych żydowskich aktorów i reżyserów wyjeżdżających wbrew swojej woli, bo przecież oni czuli się Polakami. Pamiętam bułki rzucane studentom Uniwersytetu Wrocławskiego podczas ich strajku. Mówię o tym nie w kategoriach rozpacz czy beznadziei, ani nie dlatego, że partycypowałem bezpośrednio w tych wydarzeniach, tylko dlatego, że one posuwały koło historii, lecz w istocie niczego nie penetrowały i nie zmieniały naszej świadomości.

Nie potrafimy wyciągać wniosków i uczyć się na błędach?

– Stąd mój niepokój po naszym ostatnim przebudzeniu. Gdy ma się 80 lat i ciągle ktoś przetrzącał umysł lub nogi, to człowiek zadaje sobie pytanie, czy ta obecna zmiana jest trwała? Nie chcę po raz kolejny stracić szansy, którą sami stworzyliśmy. I nie wiem, czy jesteśmy w stanie uwolnić się od tych strasznych cech, które tak precyzyjnie sportretował ks. Jędrzej Kitowicz w „Pamiętnikach, czyli historii Polski”, opisując sarmackie obyczaje. One wydają się wieczne: kradzieże własności, idei, wszechmocne liberum veto, prywata. Polskie koszmary sennie. Z tego powodu także teksty wieszczów – Mickiewicza czy Wyspiańskiego są wciąż żywe i rezonują społecznie wystawiane na deskach teatrów.

Jako naród częściej odgrywamy farsę, groteskę czy tragedię?

– Wszystkie te trzy gatunki, choć najprawdopodobniej mamy skłonność do tragicznej martyrologii, tak silnie akcentowanej przez odchodzącą władzę. PiS w imię obrony suwerenności było gotowe wyprowadzić Polskę ze wspólnoty unijnej.

Suwerenności opacznie interpretowanej?

– Oczywiście. Gram ostatnio w spektaklu Jana Klaty „Act of killing” gangstera mordercę, który lekką ręką zabił kilkaset tysięcy ludzi i jest z tego dumny. Mówi – i są to jego prawdziwe wypowiedzi – że „tak naprawdę to parlament powinien emanować godnością; to powinno być najbardziej szlachetne miejsce w kraju, ale gdy patrzę, co się tam wyrabia, to krew mnie zalewa. To są rabusie, banda rabusiów w krawatach”. I mówi to największy